

# ♦ jutrenka ♦

dodatek tygodniowy „expressu zagłębia” dla dzieci i młodzieży  
pod redakcją czarnego wujaszka

Rok II.

Sosnowiec, niedziela 17 stycznia 1937 roku.

Nr. 3.

## NA SANKACH



PO ŚNIEGU, PO TYM BIAŁYM,  
NA SANKACH MKNIEMY Z GÓRY,  
TYLKO NAM SZUMI W USZACH  
OD PĘDU, OD WICHURY.

A JEŚLI KTÓRY CHŁOPAK  
RAZ SPADNIE Z SANEK W BIEGU,  
NIC MU SIĘ STAĆ NIE MOŻE  
W TYM BIAŁYM, MIĘKIM ŚNIEGU.

## Trudno być cyrkowcem

— Patrz, patrz, Jagusiu, co jedzie ulicą! — wołał Wladek, stojąc przy otwartym oknie.

Mała Jagusia wygramoliła się na krzesło, aby lepiej widzieć, i wraz z bratem spoglądała ciekawie na niezwykle widowisko.

Przechodnie stawiali na chodnikach. wkrótce zebrał się wielki tłum gapiów, wpatrzony w stronę, skąd nadchodził dziwny orszak. Na jego czele kroczył majestatycznie wielbłąd, kołysząc się zwolna pod trębaczem, którego jaskrawy, czerwony strój w zielone pasy mienił się w słońcu połyskiem atłasu. Trębacz podnosił do ust złotą trąbę, wydając wrzaskliwe dźwięki, aby zwrócić powszechną uwagę.

Za nim posuwała się czwórka białych mułów w szkarłatnej uprzęży, ozdobionej dzwoneczkami i pióropuszcami, zaprzęgnięta do olbrzymiego wozu o złotych kołach, nad którym wznosił się kwiecisty baldachim.

— Co to jest? Czy to jaki król jedzie? — pytała zdumiona Jagusia.

— Głupiaś! Królowie jeżdżą na mochodami i otacza ich gwardia konna — odparł Wladek, dumny ze swej wiedzy.

— Małpy! małpy jada! — wołały andrusy.

Cały orszak posuwał się teraz pod samym oknem. Na wozie pod baldachimem zamajaczyły dwunożne i czworonożne postacie. Zrwy...

...jac o białej twarzy, w czarnym, atłasowym ubraniu, ozdobionym białymi guzikami i wielką, koronkową krezą, błazen w pstryym stroju, małpa w brązowej, szamerowanej liberii, biały pudeł w damskiej sukni i modnym kapeluszu, murzyk w w złocistej tualecie, obwieszona świecidlami. Nad baldachimem widać olbrzymi napis:

„Największa atrakcja sezonu!  
Cyrk Salomońskiego, najbogatszy w Europie!

Spieszcie wszyscy na przedstawienie, jedyne w swoim rodzaju!

— Mamusiu, mamusiul! Cyrk! Cyrk! Najbogatszy w Europie!  
Niech mamusia patrzy! Obca...



ić do cyrku! — wołały daleciane głosy.

— Jeżeli tatuś pozwoli i będzie cie bardzo grzeczną, to wieczorem pójdziemy — obiecała mamusia.

Godziny wlokły się, długie, bez końca. Dzieci, choć zachowywały się przykładowo, nie mogły się doczekać wieczora; co chwila spoglądały na zegarek, leżyły minuty.

Wreszcie słońce zaszło; zaczęło się ściemniać; podano kolację, którą Władek i Jagusia zjedli pośpiesznie, ze strachu, aby się nie spóźnić.

Tatuś się śmiał, ciesząc się radością dzieci, i wraz z mamusią poszedł z nimi do cyrku.

Wieczór ten był pamiętny dla Władka i Jagusi. Na wołowej skórze nie dałoby się spać, ile dziwów oglądały ich zdumione oczy. Z początku Jagusia bała się trochę słoni z powodu ich ogromu i długiej trąby, lecz gdy zobaczyła te wielkie ciężkie stworzenia, tańczące wesoło w takt muzyki, była nimi zachwycona.

Salwy śmiechu witały figle i dowcipy białonów. Piękne konie i zgrabne wołyżerki miały duże powodzenie. Małpa, jeżdżąca na osie i skacząca przez obręcze, cieszyła się ogólnym uznaniem, ale największą sensację budziły akrobacyjne sztuki brać Fikmik. Publiczność z zapartym tchem śledziła każdy ich ruch, karkołomne skoki i kosty. Nagle wszystkie oczy wzniosły się w górę: obaj bracia, pozbawiani na sznurach, mieli się chwycić trapezu, zawieszonemu pod samym sklepieniem.

Muzyka ustała. Chwila zupełnej ciszy. Nikt nie śmiał się poruszyć. Jeden akrobatów uczepiony nogami o trapez, kołysał się na nim głową na dół, trzymając w zębach taśnię, na której w próżni zwieszał się jego brat. — Oby nie runął na arenę, oby tylko nie runął! — zdawały się szeptać wszystkie usta.

Ale nie; wszystko powiodło się szczęśliwie. Muzyka znów rżnie; burza oklasków wita tryumf akrobatów, którzy są już na ziemi i kłaniają się, uśmiechem dziękując za cwację.

Władek i Jagusia nie posiadają się z radości; dłonie im puchną od oklasków, oczy świecą się z podniecenia. Po skończonym przedstawieniu ze smutkiem opuszczają cyrk; nigdy jeszcze tak się nie bawili.

— Wiesz co, Jagusiu — mówi na zajutrz Władek do siostry — jeśli mi przyrzekniesz, że nikomu na świecie nie powtórzysz to ci powiem tajemnicę...

— Nikomu na świecie! — zaklina się dziewczynka.

— Chcę być akrobatą w cyrku, jak bracia Fikmik! Wydrukują moje nazwisko ogromnymi literami na

# ROK 1863

fylio to dawno, bardzo dawno, drogą dzieci  
W owym roku powstańczym sześćdziesiątym trzecim.  
Nawet mój ojciec i twój tego nie pamięta  
Gdy powstał dziadowie, zrywał wprze pęta.

Dziadek, co dziś w mundurze chodzi weterana,  
był wtedy młody...

Słońko przygrzewało z łana.  
Śnieg topniał po rozłogach — a nad czarnym lasem,  
Unosiły się kruki z piekielnym hałasem  
A gdy kruki umilkły — ożywał bór cały  
I niosły się powietrzem moskiewskie wystrzały!  
I wtedy ojciec dziadka, z piorunami w oku  
Krzyknął do synów — Moskal nie ujdzie ni kroku!  
Za strzelby dzieci i w las — za mną, pedź, kto żywy!  
I trwał w borze stuletnim bój krwawy, straszliwy,  
Aż ustał gdzieś nad ranem i wtedy do domu  
Przyniesli ojca dziadów cicho, pokryjonym,  
I ukryli w stodole przed moskiewskim okiem  
Ojca dziadów ranego — z wyzarpanym bokiem.  
Co było dalej!

Rankiem Moskal we wei bada —  
Czy nie widział kto pana? waszego pradziada.  
Sądził pewnie, że jest ukryty w stodole.  
Więc puścili stodolę z dymem...

Było to bardzo, bardzo dawno, drogą dzieci.  
W owym roku powstańczym sześćdziesiątym trzecim.

programach; będą światową sławą,  
witany oklaskami tłumów. Czy to  
nie lepsze, niż siedzieć nad książką  
i uczyć się nudnych lekcji!

— Ja także chcę być akrobatą!  
— Nie potrafisz, boś kobieta. Ja  
— to co innego: gimnastykuje się w  
szkole; gdy się wprawię, to wszyst-  
ko zrobię, tylko chcę pójść do cyr-  
ku i poprosić, żeby mnie przyjęli.  
— Ja także chcę pójść z tobą, ja  
także!

— Więc dobrze. Pójdziemy ra-  
zem, gdy rodziców nie będzie w do-  
mu, bo gotowi nie pozwolili...

W parę dni później, korzystając  
z nieobecności rodziców, brat i sio-  
stra wymknęli się z domu niespos-  
trzeżenie. Bez przeszkód dotarli do  
cyrku i znaleźli się przed obliczem  
pana Salomońskiego, który przyjął  
ich bardzo uprzejmie, pytając, czym  
może służyć.

Dzieci czuły się bardzo onieśmie-  
lone, choć ten starszy, gruby pan  
patrzył na nie z dobrotliwym uśmie-  
chem.

Władek zdobył się na odwagę i  
rzekł:

— Proszę pana, moja siostra i ja  
chcemy wstąpić do cyrku...

— To bardzo pięknie. I co chcecie  
robić?

— Pragniemy być akrobatami.  
Pan Salomoński coraz weselej się  
uśmiechał, pytając:

— A cóż na to rodzice? — i, wi-  
dząc zafrasowaną minę Władka,

dodał:

Pewnie nic nie wiedzą!  
Dzieci bąknęły jakąś niezrozumiałą  
odповідź.

— Otóż przyjmę was, jeśli zda-  
cie egzamin.

— Egzamin! — przeraził się Wła-  
dek.

— Niezbyt trudny; zaraz zobac-  
zyście.

Otworzył drzwi i zawołał jakie-  
goś Franka. Franek był wysoki, chr-  
dy i odznaczał się niezmierną dłu-  
gością rąk.

— Pokaż, na czym polega nas  
egzamin — rzekł mu pan Salomo-  
ński.

— To bardzo łatwe — odparł zo-  
gadnięty i z niesłychaną wpraw-  
przeskoczył przez własną nogę. Na-  
stępnie, skrzyżowawszy ręce za plecami,  
złączył dłonie z przodu na pi-  
ście tak, że palce się stykały. P-  
czym dał susa w powietrze i nogą  
dotknął lampy, zawieszanej pod st-  
fitem.

— Gdy to potraficie zrobić, przy-  
mę was do cyrku, więc ćwiczcie się  
atymczasem zęgam was i radzę po-  
dłko wracać do domu, żeby was nie  
szukano.

Napróżno biedne dzieci ćwiczyły  
się do egzaminu. Nauka nie postępowała  
wcale. Wkrótce się zmęczeni  
i doszły do przekonania, że lepiej  
podziwiać cyrkowe sławy, niż wste-  
pować w ich ślady.



# DIAMENT

Kapral Jan Anderson i Rufus Dal przedzierali się przez splecione liany afrykańskich lasów.

Dal był tym, który przysłał wiadomość o zaginionym baronie Rollo Deniston do głównej kwatery policji w Tanganayce.

— Deniston zginął — opowiadał Dal w kwaterze. — Wędrowaliśmy razem przez lasy i natrafiliśmy na pewne plemię murzyńskie. Wódz tego plemienia miał obramiony diament, który Deniston kupił za paciorki i perkala. Nie uszliśmy jednak nawet jednego dnia drogi, gdy plemię to napadło nas w nocy. Ja zdołałem umknąć im, ale Deniston został zabity. Diament, jak się zdołałem dowiedzieć, znajduje się u czarownika - lekarza, tego plemienia. Do wioski, gdzie zamieszkuje owo plemię, dostać się jest niezmiernie trudno z powodu niezmiernych i nieprzebytych lasów. Ale znam pewną polanę w niewielkiej odległości od wioski, gdzie może z łatwością wylądować samolot. Dajcie samolot, dajcie dużo perkali, paciorków, noży etc., a wykupimy ten diament z rąk czarownika. Mnie zaś dacie dziesięć procent od zysku.

Komendant policji nie chciał się na to zgodzić, ale Jan Anderson przekonał go. Kaprala uderzyło kilka szczegółów w opowiadaniu Dala, które niezupełnie zgadzały się z prawdą. Oprócz tego sam Dal przed stawiał jakiś nieszczególny typ.

— Ja znam zaginionego baroneta osobiście — mówił Anderson — no i adwokat londyński, Tews, poszukuje go w sprawie jakiegoś spadku. Trzebaby tę rzecz wywieść.

Komendant dał więc samolot i potrzebne towary na kupno diamentu. Anderson i Dal wystartowali. Przed piątą po południu, na godzinę przed zachodem słońca, wylądowali na owej polance. Rozbili obóz i postanowili przeczekać. Nad ranem jednak, gdy Anderson się obudził stwierdził, że Dala nie ma. Zjawił się dopiero po godzinie.

— Gdzie pan był? — spytał kapral.

— Szukałem drogi do wioski.

Anderson nie odpowiedział, nie wydało mu się to podejrzane.

Wyruszyli zaraz w dalszą drogę zostawiając namiot i ładunek na polance. Szli dość długo, gdy nagle Dal pochylał się i zaczął poprawiać coś u buta. Anderson minął go.

— Rece do góry! — rozległ się tylny rozkaz.

Anderson odwrócił się śpiesznie

sięgając jednocześnie do boku. Dał tal wyprostowany i celował doń z rewolweru.

— Rece do góry, jaświe — powtórzył — bo strzela.

Anderson usłuchał. Dal zbliżył się doń, aby zabrać mu broń. Anderson błyskawicznie rzucił się na niego, usiłując wyrwać rewolwer.

Dal wypalił w powietrze i natychmiast rozległo się straszliwe wycie. Kilkadziesiąt czarnych postaci wybiegło zza krzaków i drzew i obsiadło Andersona. W kilka minut, po uporczywej walce, leżał, związany lianami.

— Widzisz, idjoto — naigrywał się Dal — przywoziłeś mi wykup za diament, który ja sam zabiorę, ty zaś zginiesz i to nie łatwą śmiercią.

Anderson stał przywiązany do pnia w jakiejś obszernej chacie z bambusów. Stał tak już kilkanaście godzin. Nogi mdlały pod nim i był bliski całkowitego wyczerpania.

Zmierzch, jak to w Afryce, zaczął szybko zapadać i Anderson po przez szpary w ścianach zoczył kilka ogniska, rozpalone za wieją. Po chwili usłyszał dzikie bicie tam-tamów.

— Zaczyna się — pomyślał. — Za kilka godzin zostaną ze mnie tylko szczątki.

Dały się słyszeć kroki i głosy. Anderson rozpoznał Dala. Mówił on w języku Swahali.

— Przyniołem ci mnóstwo po-



Niezwykły widok

darków, paciorków i perkala. Masz oprócz tego białego człowieka, które go możesz wziąć na wasze diabelskie tortury. Wzaman daj mi duży, przezroczyły kamień. Wiem, że go nosisz w woreczku na szyi.

— Dostaniesz go potem — odparł drugi głos. — Chodźmy tymczasem obejrzyć więźnia.

Dwie postacie weszły do chaty. Nagle jedna ciemniejsza, rzuciła się na drugą; rozległ się krótki, urwany krzyk i chrzęst... Potem ktoś poprzerał węzły więźniowi znajomy głos szepnął mu do ucha po angielsku:

— Biegnij! Bój się i chodź za mną! Jestem Rollo Deniston!

Rollo Deniston i kapral Anderson siedzieli na werandzie głównej kwatery policji w Tanganayce. — Rollo opowiadał:

Tak więc Dal zdradził mnie. Umówił się z czarownikiem plemienia, że mnie zawiąją i odbiorą diament, on zaś miał odkupić go za perkala i paciorki. Nie udało się; dżicy nie zabili mnie, ale wzięli w nie wolę, zaś ich czarownik poległ z mojej ręki podczas napadu. O tem wszystkim Dal nie wiedział, umknął bowiem wcześniej. Mnie zaś dzięki kilku sztuczkom czarodziejstwa udało się uniknąć śmierci — co więcej, umiejętność leczenia za wzięczam, że zostałem czarownikiem — lekarzem u tych dzikusów.

Pilnowali mnie jednak, tak że nie mogłem umknąć. Musiałem się nawet pomalować na hebanowo jakimś roślinnym środkiem. Dal nie poznał mnie; po pierwsze, byłem czarny, a po drugie, zgoliłem zarost. No i odmienny strój też robił swoje. Dal był tylko rozczarowany i zdziwiony tem, że nie zastał poprzedniego czarownika. Ale nie pytał o nic, tylko ciągle starał się wyłudzić ode mnie diament. Zdałem się, że skreśliłem mu kark. Jesli żyje, dżicy będą mieli zań pociechę. O tym, że on naprowadził dzikich na ciebie, gdy przedzieraliście się przez las, wiesz już. Tylko, idjoto, zapomniiał postawić straży przy samolocie. Może bał się.

— Tak, i temu zawdzięczam, tak szybki ratunek — zakończył Anderson.





# Rozmowa z Czytelnikami

**Józef Hałdyk.**  
Przepraszam Cię za tę przykrość, ale Twoje rozwiązanie przyszło za późno.

**Marian Wach.**  
Z przyjemnością dowiedziałem się o Twojej pracy zawodowej i o tym, że należysz do poważnych organizacji. Oczywiście nie gniewam się za przerwanie korespondencji, bo kto zajmuje się sprawami społecznymi, jak Ty, ten nie zawsze ma czas na pisanie do „Jutrzenki“.

**Stefka Cmielarzówna.**  
Według Ciebie, trzeba odwagi do napisania listu i trzeba jej do wysłania rozwiązań łamigłówek. A ja Cię zapewniam, że choć Czarny, nie

jestem straszny i nie trzeba się mnie obawiać, ale pisać jak najczęściej.

**Marian D.**  
Prawdziwa to radość dla mnie, że tak Cię nagroda ucieszyła. Uciecha była podwójna, że piękna książka i że to pierwsza w Twoim życiu nagroda.

**Do rodziny „Jutrzenki“**  
zostali przyjęci: Zbyszko Wleciał, Władek Gabryś, Irena Tomiakowska, Zbigniew Słaby, Marynia Cwiartniakówna, Witek „Czarne ślepie“, Marysieńka Jędrusikówna, Henio Nazimek, Zycia T., Janinka Słaba, Marysićka Magierzanka, Władzio Bałazy, Marian T., Kazia Skibianka.

# Korespondujemy między sobą

**List do Wiesi Widlińskiej.**

**Kochana Koleżanko!**

Zobaczyłem u Zbyszka K. jak miło wygląda korespondencja między członkami rodzinami. To też chcę by pomiędzy nami powstała korespondencja. Więc zapytuję koleżankę czy koleżanka uczęszcza do szkoły bo ja już do szkoły nie chodzę i mam lat 14. Na tem kończę swój list i proszę, by mi koleżanka zdecydowała odpisać.

*Henio z Sosnowca.*



# „entliczki-pętliczki“

Rozwiązania z 2-go numeru „Jutrzenki“.

**BILETY WIZYTOWE:**

**Kazimierz Krystyna**  
**Maksymilian**

**LOGOGRYF:**

**KALINA**

**UZUPEŁNIANKA:**

**Z E G A R**  
**C Z A R A**  
**K A Z A Ń**  
**S K A Z A**  
**G R A C Z**

**KWADRAT MAGICZNY.**

**K O R A N**  
**O B O R A**  
**R O M E K**  
**A R E N A**  
**N A K A Z**

**Nagrody**

Za dobre rozwiązania książki przez losowanie otrzymują: Danusia Kidawianka, Grudziec ul. Limanowskiego 111 (książka do odebrania w sklepie p. Bednarka, Daneczka Czechówna, Będzin, ul. Sielecka (książka do odebrania w filii „Expresu Zagłębia“) i Ludwik Bąbka,

Sosnowiec (książka do odebrania w Redakcji „Expresu Zagłębia“ w dn. 18, 19 i 20 bm. około godz. 18-ej)

## ZAGADKI

I ułożyła Janinka Słaba.

Nie wie ojciec, matka,  
co to za zagadka:  
poł taty, pół mamy  
nad rzeką ją mamy.

II ułożyła Lalunia Kołatówna.

Nie ryba, a w wodzie żyje,  
nie drwał, a drzewa zrzuca.  
Dom swój pod wodą kryje  
w leśnych gęstwinach.

III ułożył Wacusz Barczyk.

Jak się wam ta zagadka podoba —  
jest to rzeka, lub choroba.

## Uzupełnianka

	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	
	Ł	O	

Tak uzupełnić ŁO odpowiednimi literami, by czytane poziomo dały wyrazy o znaczeniu:

1) część ręki, 2) zwierzę, 3) kwiatostan zbóż, 4) rośnie na głowie.

## Wizytówki

ułożyła Władzia Nowakówna.

Z podanych nazwisk odgadnąć zawód tych osób.

**TAD. KORRE TAD. TYNES**

## Sylabówka

ułożyła Stefa Chmielewska.

Z podanych niżej sylab ułożyć 9 wyrazów, których pierwsze litery dadzą rozwiązanie. Znaczenie wyrazów:

1. imię żeńskie, 2) góry na pograniczu Europy i Azji, 3) stolica Japonii, 4) część dnia, 5) zwierzę podzwrotnikowe, 6) państwo w Afryce, 7) rzeka w Afryce, 8) państwo w Ameryce Po., 9) rzeka w Ameryce Płd.

Sylaby: u — na — to — ra — ger — ja — ka — bra — kio — ral — na — ma — ka — zon — e — ni — ze — no — ni — gipt — da — a

Rozwiązania nadsyłać w terminie do dnia 20 bm.



## Uśmiechnij się

**ANTEK — ZWYCIĘZCA.**

— Znowu się biał z Antkiem i znowu trzeba ci sprawić nowe ubranie.

— Ej, co tam! Żeby mama widziała jak wygląda Antek. Jego matka będzie musiała sobie kupić nowego Antka!